

DODATEK SPECJALNY – CZĘŚĆ 2



Niemiecka polityka historyczna

– odpowiedzialność pod znakiem zapytania

- Dlaczego hitlerowscy zbrodniarze mogli robić kariery w powojennych Niemczech?
- Współczesna polityka historyczna Berlina kontra pamięć o polskich ofiarach
 - Jak Niemcy opowiadają o swoich ofiarach z czasów II wojny światowej
 - Piotr Semka o sprawie niemieckich wypędzonych



PARTNERZY:

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI





FOT. XXXXXX

SPIS TREŚCI

3 MACIEJ ROSALAK POZORNA DENAZYFIKACJA ADENAUERA

Zapomnieć, ukryć, zatrzeć ślady win lub przynajmniej ferować najłagodniejsze wyroki – oto denazyfikacja po niemiecku ery Konrada Adenauera. Równocześnie kanclerz RFN mocno postawił na pojednanie z Francją.

7 BOGDAN MUSIAŁ POLITYKA PUSTYCH GESTÓW

Na czym polega niemiecka propaganda historyczna? Rozmowa Piotra Włoczyka

z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec.

11 WOJCIECH SIMON NIE TYLKO REPARACJE

– Nie możemy zapomnieć, kto był ofiarą, a kto okrutnym oprawcą i katem – podkreślił we wrześniu premier Mateusz Morawiecki. Polacy mogą mieć powody do obaw. W Niemczech maleje wiedza o zbrodniach z czasów drugiej wojny

światowej i rośnie chęć relatywizowania zbrodni wojennych.

15 PIOTR SEMKA PROBLEM Z „WYPĘDZONYMI”

Środowisko „wypędzonych” przez wiele lat wywierało ogromną presję na niemieckich polityków, co zatruwało relacje z Polakami. Co o jego wpływie na współczesną rzeczywistość mówi sprawa budowy w Niemczech Centrum przeciwko Wypędzeniom?



Pozorna denazyfikacja Adenauera



Maciej Rosalak

Zapomnieć, ukryć, zatrzeć ślady win lub przynajmniej ferować najłagodniejsze wyroki – oto denazyfikacja po niemiecku ery Konrada Adenauera. Równocześnie kanclerz RFN mocno postawił na pojednanie z Francją

Po zakończeniu drugiej wojny świat ujrzał w pełni rany zadane przez Niemców. Morze wylanej krwi i łez, groby milionów ludzi i zgłiszcza ich siedzib. Głód, choroby oraz poniewierkę wielkiej części mieszkańców Europy. Winą za to obarczono cały naród niemiecki.

Alianci rozpoczęli proces rozliczania Niemców od procesu 29 głównych oskarżonych przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norimberdze. Poza tym od 1945 do 1949 r. przeprowadzono przed sądami amerykańskimi 12 procesów norimberskich

zwanych następczymi. Łącznie stanęło przed sądem 177 osób, w tym 39 lekarzy i prawników, 56 esesmanów, 42 przemysłowców, 26 dowódców wojskowych, 22 wysokich urzędników III Rzeszy. Dwadzieścia pięć osób skazano na karę śmierci (12 stracono); 19 skazano na dożywotnie więzienie, 98 na terminowe kary więzienia, a 35 uniewinniono.

Na różnice denazyfikacji w poszczególnych strefach okupacyjnych wskazuje następujące zestawienie ogółu osób weryfikowanych, a w tym (w nawiasie) uwolnionych od zarzutów: amerykańska – 95 250 (44 244 = 46 proc.); brytyjska ■

■ – ok. 64,5 tys. (ok. 34 tys. = 53 proc.); francuska – 18 963 (8040 = 42 proc.); sowiecka – 67 179 (8214 = 12 proc.). W strefie sowieckiej wykonano kilkakrotnie więcej wyroków śmierci niż w strefach zachodnich razem wziętych.

W Polsce osądzono i powieszono m.in. dwóch pierwszych komendantów KL Auschwitz – Rudolfa Hössa i Arthura Liebehenschela. Około 600 członków załogi KL Auschwitz przekazano do osądzenia w Polsce. Kilkudzieścioro otrzymało wyroki śmierci, ale wielu wymierzono kary krótkoterminowe, a niektórych uznano za niewinnych. Przypomnijmy, że z 8-tysięcznej załogi obozu aż 7 tys. esesmanów przeżyło wojnę, natomiast osądzono zaledwie 700.

Z początku Niemcy w poczuciu winy i ze strachu znosili to pokornie, ale po czterech latach – kiedy zezwolono na własną organizację państwową – mieli dość. Powrót do ideologii „narodu panów” był, rzecz jasna, niemożliwy, ale rodziło się pytanie: Jak teraz próbować żyć z podniesioną głową wśród innych narodów? Było również pytanie o własny rozrachunek z przeszłością i o znalezienie nowej polityki historycznej...

WYSIEDLENI CZY „WYPĘDZENI”

Między zwycięzcami rozpoczęły się ryćło „zimna wojna” i zjednoczenie czterech stref okupacyjnych w jedno państwo – oraz zawarcie z nim układu pokojowego – stało się nierealne. Przy tym państwa zachodnie miały „swoich” Niemców, a Sowieci „swoich”; we wszystkim im posłusznych komunistów niemieckich. Zaufanym powierzono zadanie objęcia władzy w obu państwach niemieckich, które utworzono w 1949 r.

Amerykanie znaleźli już w 1945 r. i umieścili na pierwszym miejscu swojej białej listy osób spełniających kryteria doświadczenia, wykształcenia, postawy moralnej i politycznej 69-letniego wtedy prawnika, w latach 1917–1933 będącego burmistrzem Kolonii. Hitlerowcy wytańczyli mu sfingowane procesy, aresztowali go dwukrotnie, zabrali dom, musiał się ukrywać u przyjaciół, ale nigdy na współpracę z nazistowskim reżimem nie poszedł. Ów wyjątkowy wśród Niemców ideał nazywał się Konrad Adenauer.

Już we wrześniu 1945 r. wraz z grupą byłych członków Partii Centrum założył Unię Chrześcijańsko-Demokratyczną (CDU). Pod jego kierunkiem przygotowany projekt konstytucji przyszłej RFN. Czte-

ry lata później, w pierwszych demokratycznych wyborach na ziemi niemieckiej od lat 30. XX w., CDU zdobyła najwięcej głosów (31 proc.), ale – aby rządzić – zawiązała koalicję z liberałami (FDP). Przewagą jednego głosu na kanclerza wybrano Adenauera. Odtąd dopóty, dopóki był on kanclerzem, CDU rządziła w RFN albo samodzielnie, albo – unikając w wyborach 1953 r. sojuszu z socjalistami (SPD) – wspólnie np. z sezonową partią polityczną, jaką stał się w 1950 r. Związek Wypędzonych ze Stron Ojczystych i Pozbawionych Praw (BHE) powołany przez ziomkostwa i inne organizacje wysiedlonych.

Adenauer, który podobno osobiście nie był entuzjastą ruchu wysiedlonych, tak jak większość polityków niemieckich doceniał jednak ich potencjał wyborczy. Potencjał ten – co może wydać się paradoksalne – rósł wraz z upływem lat. O ile w spisie powszechnym z 1950 r. „wypędzonych” odnotowano 7876 tys., o tyle w 1961 r. było ich 8956 tys., a w 1971 r. aż 9598 tys. Owemu wzrostowi sprzyjała na pewno polityka władz RFN, które w 1952 r. spowodowały wydanie ustawy o wyrównywaniu obciążeń. Faktycznie umożliwiła ona transfer pieniędzy od tej części Niemców, którzy w wyniku wojny nie ponieśli strat materialnych, do tych rodaków, którzy je ponieśli. Były to po prostu zakamuflowane odszkodowania.

O opublikowanej w 1950 r. Karcie wypędzonych tak pisał Jan Rydel w eseju o polityce historycznej w RFN (nr 599 „Prac Monograficznych” krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego): „Autorzy Karty wyrzekali się zemsty na sprawcach ich niedoli, a równocześnie zastrzegali sobie prawo do powrotu do swych stron ojczystych i do swej własności pozostawionej na wschodzie, co czyniło ich wyzwanie połowicznym. Karta zapoczątkowała tryumf terminów »wypędzeni« i »wypędzenie« w języku politycznym RFN. Ich użycie jest tam bezwzględnie przestrzegana normą, pomimo że w ciągu pierwszych lat po wojnie w okupowanych Niemczech nazywano ten krąg osób po prostu »uchodźcami«. Słowo »wypędzeni« na określenie całej zbiorowości jest semantycznym nadużyciem, ponieważ ponad połowa osób tak określanych uciekała lub została ewakuowana przed nadejściem frontu. Termin ten ponadto w sposób szczególnie emocjonalizuje bolesne zjawisko przymusowych migracji, gdyż ewokuje antynomię: wypędzony – wypędzający, ofiara – oprawca, dobry

– zły, która zupełnie nie odpowiada dramatyzmowi dziejów Europy Środkowo-Wschodniej lat 1939–1949”.

W szeregach ruchu „wypędzonych” co rusz wyłaniały się osoby z zaszarganą nazistowską przeszłością, których nie namierzyła dziurawa ani nazbyt tolerancyjna denazyfikacja kontynuowana od 1949 r. przez samych Niemców. To jeszcze nic, że np. na pierwszego przewodniczącego Związku wybrano członka hitlerowskiej Partii Robotników z Poznańskiego – Waldemara Krafta. W końcu NSDAP liczyła pod koniec wojny aż 8,5 mln członków... Jednak przewodniczący w latach 1959–1963 i minister ds. „wypędzonych” Hans Krüger okazał się hitlerowcem jeszcze z czasów puczu monachijskiego i – co więcej – sędzią sądów specjalnych wydającym liczne wyroki śmierci.

Od zapowiedzi rewizji granic oraz rewanżyzmu „wypędzonych” Adenauer absolutnie się nie odcinał. Przeciwnie. Ten 80-letni już, ale działający ciągle na najwyższych obrotach polityk poruszał konieczność powrotu do granic z 1937 r. (dobrze, że nie z końca 1939 r.) za każdym razem, gdy była ku temu okazja. Pozwalał sobie na takie demonstracje jak paradowanie w płaszczu krzyżackim podczas przyjęcia go do zakonu w 1958 r. Dla ludzi z krajów zachodnich nic złego to nie znaczyło, ale w Europie Wschodniej – a zwłaszcza w Polsce – jego wykorzystywanie w oficjalnej propagandzie PRL zdjęcie z czarnym krzyżem również licznym Polakom kojarzyło się z „rewizjonizmem i militaryzmem niemieckim”. Polakożerca podobno nie był, ale na opinii PRL mu po prostu nie zależało.

A opinię tę alarmowały m.in. podręczniki szkolne z mapkami Niemiec w przedwojennych granicach czy wspomnień prominentnych generałów hitlerowskich o drugiej wojnie światowej, bez cienia refleksji nad własną odpowiedzialnością za jej ludobójczy koszmar.

U GROBU KAROLA WIELKIEGO

Wspieranie „wypędzonych” było ze strony Adenauera działaniem stricte politycznym, skierowanym głównie na użytek wewnętrzny, a zarazem oznajmieniem światowej opinii publicznej, że zachodnie Niemcy nie godzą się na rozstrzygnięcia, które zapadły w Po-



Tzw. proces lekarzy (XII 1946 - VIII 1947)

– pierwszy z 12 procesów norymberskich FOT. DOMENA PUBLICZNA

czdamie. Kanclerz sporo osiągnął taką polityką, również historyczną. Zyskał trwały sukces wyborczy w kraju, a za granicą pewien respekt u tych sojuszników zachodnich, którzy wstrzymywali się z oficjalnym uznaniem naszej granicy na Odrze i Nysie aż do początku lat 90. i układu RFN – III Rzeczpospolita. Korzystając zaś ze zmian w ZSRS po śmierci Stalina (1953), uzyskał w 1955 r. zgodę na powrót do kraju 10 tys. przetrzymywanych tam po wojnie jeńców niemieckich.

Na arenie międzynarodowej Adenauerowi udało się zbudować i umocnić pozycję RFN jako państwa praworządnego, kraju sukcesu gospodarczego, który przy tym kieruje się dobrem całego zachodniego świata i chce sprostać jego zasadom. W 1951 r. – na zaproszenie szefa dyplomacji francuskiej Roberta Schumana – został sygnatariuszem traktatu powołującego Europejską Wspólnotę Węgla i Stali, która z czasem zamieni się w Europejską Wspólnotę Gospodarczą, a następnie w Unię Europejską.

Rok później uznał zobowiązanie Niemiec Zachodnich względem Izraela, jako głównego przedstawiciela Żydów, do rekompensaty za Holocaust.

Już u schyłku kariery kanclerskiej (1963 r.) Adenauer odniósł ogromny sukces polityczny. Oto prezydent Francji Charles de Gaulle zaprosił go do swej prywatnej rezydencji (1958) i od tamtej pory obydwa pochylali się nad wspólną koncepcją dziejowego francusko-niemieckiego pojednania. Do finału doszło w Akwizgra-

nie (niem. Aachen) u grobu Karola Wielkiego – wspólnego dla obu nacji protoplasty ich państwowości – 22 stycznia 1963 r. Traktat zwany elizejskim ustanawiał stałe konsultacje w kwestiach polityki zagranicznej i obronnej, a także ścisłą współpracę gospodarczą oraz wymianę młodzieży.

Korzystając z odpowiedniej większości w Bundestagu, CDU zmieniła konstytucję RFN – usuwając zapis o rezygnacji z posiadania sił zbrojnych. Adenauer wyszedł tu zresztą naprzeciw oczekiwaniom USA, które chciały wzmocnienia potęgi wojskowej NATO w środkowej Europie. W 1955 r. RFN wstąpiła do NATO i Niemcy znowu zaczęli budować silną armię – 12 dywizji nasyconych bronią pancerną, ze wsparciem nowoczesnego lotnictwa, a przede wszystkim z ochroną amerykańskiego parasola nuklearnego oraz taktycznej broni atomowej. Kanclerz nie krył zresztą zamierzenia uzyskania własnej broni masowej zagłady.

„NIESZCZĘŚCIA” DENAZYFIKACJI

W swym pierwszym exposé Adenauer stwierdził: „Denazyfikacja była przyczyną wielu nieszczęść. Ci, którzy rzeczywiście są winni przestępstw popełnionych w okresie narodowego socjalizmu i wojny, powinni zostać ukarani z całą surowością. Ale poza tym nie wolno nam dzielić ludzi w Niemczech na dwie klasy: jednych bez politycznych zastrzeżeń i drugich z zastrzeżeniami. Ten podział musi jak najszybciej zniknąć. Wojna i zamęt okresu powojennego przyniosły wielu tak ciężkie próby i pokusy, że

musimy mieć zrozumienie dla pewnych potknięć i wykroczeń. Z tego powodu rząd federalny rozważył sprawę amnestii...”. Rozwahał, ale jednak musiał się liczyć nadal ze stanowiskiem potężnych sojuszników zachodnich, a ci dobrze pamiętali jeszcze wojnę oraz liczyli się ze Związkiem Sowieckim i ustaleniami poczdamskimi.

Kilkunastoletnie rządy Adenauera przyniosły bezkarność wielu zbrodniarzy i aktywistów hitlerowskich. Zapomnieć, ukryć, zatrzeć ślady win lub przynajmniej ferować najłagodniejsze wyroki, zwalniać z odbycia kary czy maksymalnie skracać ich odbywanie w więzieniu – oto denazyfikacja po niemiecku ery Konrada Adenauera. Na przykład feldmarszałka Luftwaffe Erharda Milcha (członka NSDAP od 1933 r.) skazano na dożywocie w jednym z norymberskich procesów następczych za deportację cudzoziemskich robotników, ale w 1951 r. karę skrócono do 15 lat, a w 1954 r. w ogóle go wypuszczono.

Podobnie stało się z Brigadeführerem SS Kurtem Meyerem skazanym na karę śmierci za morderstwa przeprowadzone na kandydatskich jeńcach wojennych w 1944 r. Karę zamieniono mu na dożywocie. Kanclerz otwarcie odwiedził go w 1953 r. w więzieniu, a rok później Meyer zażywał już wolności. Jak wspominał jego syn, pierwsze, co tata wtedy zrobił, to powiesił na ścianie portret Adolfa Hitlera...

Honorowanie generałów Wehrmachtu przez Adenauera przybierało często charakter ostentacyjny – miało przywrócić Niemcom dumę z ich armii. Tymczasem nawet na znakomitym generale broni pancerniej Heinzu Guderianie ciążyła spora część odpowiedzialności za zbrodnie dokonane podczas operacji „Barbarossa” i podczas powstania warszawskiego (a w 1939 r. groził obrońcom Wizny, że jeśli nie poddadzą się, to rozstrzela wziętych dotąd jeńców). W swych „Wspomnieniach żołnierza” o takich drobiazgach – jak również o otrzymywanych od Hitlera pieniądzach i ogromnym majątku na Kujawach (skąd wygnano polskich właścicieli) – nie pisze. Włos mu z głowy nie spadł.

W założeniu słuszne – i wedle kanclerza konieczne dla RFN – przywracanie przestępców do normalnego życia prowadziło do tak rażących sytuacji jak kariera kata powstańczej Warszawy '44, SS-Gruppenführera Heinza Reinefartha, który po wojnie uniknął przekazania



SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth (pierwszy od lewej) podczas Powstania Warszawskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ Polsce przez Brytyjczyków, a niemiecki sąd w Hamburgu zwolnił go z „braku dowodów winy”. Następnie wybrano go (z listy partii „wypędzonych”) na długoletniego burmistrza Westerlandu na wyspie Sylt (1951) oraz posła do Landtagu w Szlezwiku-Holsztynie (1958). Był też wziętym prawnikiem. Władze RFN z uporem odrzucały polskie wnioski o ekstradycję zbrodniarza i przyznały mu nawet rentę generalską.

W swym ostatnim słowie przed izraelskim sądem SS-Gruppenführer Adolf Eichmann – główny koordynator i wykonawca planu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej – zawarł 13 grudnia 1961 r. taką oto wykładnię linii obrony hitlerowskich zbrodniarzy: „Miałem to nieszczęście, że zostałem uwikłany w okrucieństwa. Do czynów tych doszło jednak bez mojej woli. Nie miałem woli zabijać ludzi. Wyłączną winę za ten masowy mord ponoszą przywódcy polityczni”.

Absurd i bezgraniczny cynizm tej wypowiedzi, pozbawionej cienia refleksji moralnej, charakteryzował postawę tysięcy jego towarzyszy z NSDAP i SS, policji i sądów czy np. urzędników Arbeitsamtu – od góry do dołu. Kanclerz i ministrowie z chrześcijańsko-demokratycznej partii albo woleli tego nie słyszeć (z powodu rzekomej racji stanu), albo podzieliali ich pogląd. „Adenauer – jak pisze Jan Rydel – unikając wprowadzie ostentacji, aby nie drażnić swych zachodnich protektorów, stał się oponentem wszczynania nowych procesów nazistów i rzecznikiem łagodzenia zapadłych już

wyroków, a sekundował mu w tym najwybitniejszy ewangelicki polityk w CDU, Eugen Gerstenmaier, a nawet przywódca SPD Kurt Schumacher, przez wiele lat więzień obozów koncentracyjnych”.

Liczni sędziowie, prokuratorzy i adwokaci mieli na koncie hańbiącą przeszłość. Przykładem odkrycie, że sędziowie Hans-Joachim Rehse i Roland Freisler ferowali wyroki śmierci w pozakonstytucyjnym Trybunale Ludowym utworzonym w III Rzeszy w 1934 r. W RFN ich uniewinniono. Wieloletni sędzia Sądu Federalnego Wolfgang Fränkel – podczas wojny prokurator – wnioskował o najwyższy wymiar kary w kilkudziesięciu drobnych sprawach. Skutecznie. Polskiego robotnika przymusowego skazano np. za wypowiedź, że Hitler nie opanuje całej Europy. Po wojnie Fränkla nie pozbawiono nawet prawa wykonywania zawodu. Z kolei Hans Filbinger – wieloletni premier Badenii-Wirtembergii z ramienia CDU – podczas wojny wydawał w Norwegii wyroki śmierci jako sędzia Kriegsmarine. Tylko publiczny skandal przeciął jego karierę polityczną.

W RFN nie tylko chroniono prawników o zabagnionej przeszłości, lecz także stanowiono prawo, które nie pozwalało pociągać ich do odpowiedzialności. Przykładowo w 1968 r. tak zmodyfikowano paragraf dotyczący współnictwa w przestępstwie, że uniemożliwiono karanie tzw. przestępców zza biurka. Cóż, szef urzędu kanclerskiego Adenauera i jego „szara eminencja” – Hans Globke – nie należał wprawdzie do NSDAP,

ale współtworzył antysemickie ustawy norymberskie i do końca wojny służył hitlerowcom jako prawnik.

Po mniej więcej 10 latach sytuacja w RFN, jeśli chodzi o rozrachunki z przeszłością, ulegała jednak coraz bardziej korzystnym przemianom. Wpływ na to miały z pewnością tzw. destalinizacja w Sowietach i ogłoszenie tam polityki współistnienia zamiast konfrontacji. Zachód nieco odetchnął i mobilizacja fachowców od wojny – choćby z Waffen-SS – przestawała być już tak bardzo potrzebna. Należy jednak docenić też niezgodę sporej części Niemców na pozorną denazyfikację i przyspieszone amnestionowanie przestępców hitlerowskich w ich kraju. Konstytucja nie pozwalała wprowadzić na odwoływanie sędziów, nawet skompromitowanych działalnością w III Rzeszy, ale nacisk opinii publicznej często powodował, że sami prosili o dymisję.

Do głosu dochodziło młode pokolenie, które krytycznie spojrzało na swych ojców i swoje matki. Stąd piękny odruch moralny młodzieży chrześcijańskiej, z której kręgów wywodzili się w 1958 r. założyciele ruchu Akcja Znak Pokuty – Służba dla Pokoju (Aktion Sühnezeichen Friedensdienste). Najbardziej znaną formą działalności uczestników była społeczna praca przy porządkowaniu miejsc martyrologii ofiar hitlerizmu. Z kolei w 1959 r. student Reinhard Strecker urządził w Karlsruhe (siedziba sądu najwyższego i trybunału konstytucyjnego) wystawę „Ungesühnte Nazi-justiz” („Bezkarany nazistowski wymiar sprawiedliwości”). Przedstawienie hitlerowskiej przeszłości około setki znanych prawników wywołało w RFN spory wstrząs.

Na koniec ciekawe spostrzeżenie Jana Rydla: „Po 1945 roku środowisku historycznemu w Niemczech Zachodnich udało się, niejako w cieniu swych cieszących się powszechnym szacunkiem (także władz okupacyjnych) nestorów, przetrwać okres denazyfikacji bez najmniejszego uszczerbku i zająć silne pozycje w strukturach naukowych Republiki Federalnej Niemiec. Liczba profesorów i docentów historii usuniętych z uczelni z powodu ich działalności w okresie nazizmu była znikoma”. Kto bada dzieje i przynosi podstawę faktyczną do nakreślania polityki historycznej państwa? Oczywiście historycy...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polityka pustych gestów



Z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec rozmawia Piotr Włoczyk

#320293680

się raczej ze zbrodni wojennych i wyciągnęli z tego wnioski.

Faktycznie, świat generalnie „kupił” tworzoną przez dekady opowieść, że Niemcy rozliczyli się z przeszłością. Na tym właśnie polega niemiecka propaganda historyczna. Celowo używam tu tego pojęcia. Niemcy w moim odczuciu nie prowadzą bowiem polityki historycznej, lecz właśnie propagandę historyczną.

Różnie można oceniać to, jak Izrael wykorzystuje historię w polityce, ale nie sposób się nie zgodzić z tym, że polityka historyczna tego państwa opiera się na prawdziwym fundamencie – Holokaust się wydarzył i skończył się apokalipsą dla europejskich Żydów. Tymczasem Niemcy mistrzowsko stwarzają wrażenie, że tak właściwie oni sami byli ofiarami Hitlera i nazistów, którzy ich opanowali w latach 30. i trzymali żelazną ręką aż do 1945 r. (widać to świetnie w miniseriale „Nasze matki, nasi ojcowie”), a po wojnie zrozumieli swoje błędy i rozliczyli się ze zbrodni.

Mają przy tym gigantyczny potencjał medialny, który opowiada taką historię światu. Wszyscy wiemy, jak karne są niemieckie media. Niemcy wykonują tę pracę od dekad i teraz ta opowieść toczy się już własnym pędem. Świat uwierzył, dzięki ich propagandzie, że Niemcy po wojnie uczciwie stanęli w prawdzie. A to tylko genialnie wytworzone złudzenie.

Można jednak odnieść wrażenie, że Niemcy na każdym kroku podkreślają, iż ponoszą odpowiedzialność za zbrodnie III Rzeszy. Angela Merkel w samym środku konfliktu polsko-izraelskiego o ustawę o IPN wyraźnie podkreśliła, że obozy śmierci były niemieckie. To nie pokazuje dobrej woli?

A co właściwie miała powiedzieć? Że Auschwitz-Birkenau był polskim projektem?

Mogła nic nie mówić.

Istniała presja, żeby coś powiedziała. To ją nic nie kosztowało i to było logiczne. Nikt nie mówi przecież, że Niemcy wypierają się tych zbrodni. Holokaustowi nie da się zaprzeczyć, więc byłoby to z ich strony czymś kompletnie nieracjonalnym. Ta propaganda czy – jak kto woli – niemiecka polityka historyczna jest bardziej subtelna.

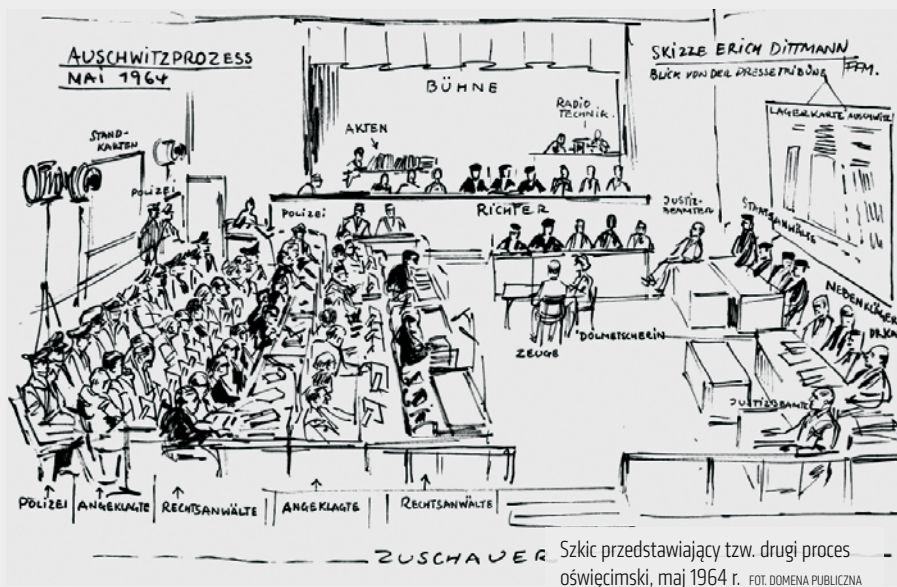
Przypomnijmy, co było priorytetem po stworzeniu RFN: ochrona zbrodniarzy i zapobieżenie wypłacaniu odszkodowań za straty wojenne. Pomogła im w tym oczywiście zimna wojna. Zachodowi

PIOTR WŁOCZYK: „Moje pokolenie przejęło pełną odpowiedzialność za zbrodniczą przeszłość Niemiec” – powiedział w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” Arndt Freytag von Loringhoven, ambasador Niemiec w Polsce. Czy niemiecka polityka historyczna powinna cieszyć Polaków?

PROF. BOGDAN MUSIAŁ: To tylko słowa. Ambasador jest w takim wieku, że trudno łączyć jego pokolenie z niemieckimi zbrodniami w czasie drugiej wojny światowej. To niemiecki urzędnik, więc oczywiste jest, że musi wypowiadać się w ten sposób. Zostawmy jednak na boku deklaracje i spójrzmy na fakty. Prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier z ubolewaniem przyznał niedawno, że

niemiecki system prawny zawiódł, jeżeli chodzi o ściganie zbrodniarzy. To oczywiście nieprawda i myślę, że prezydent zdawał sobie z tego sprawę. System nie zawiódł, tylko doskonale wypełnił swoje zadanie. Fakty są bowiem takie, że od początku był on tak zaprojektowany, by nie ścigać zbrodniarzy niemieckich z czasów drugiej wojny światowej, tylko ich chronić. Poświęcane były tylko jednostki, żeby zachować jakiegokolwiek pozory. System odniósł więc totalny sukces.

A jednak w zachodnich społeczeństwach panuje raczej konsensus, że kto jak kto, ale Niemcy rozliczyli



potrzebny był silny sojusznik w postaci Niemiec. Chodziło nie tyle nawet o siłę wojskową Niemiec, ile o potencjał gospodarczy, świetny przemysł zbrojeniowy. Kiedy alianci przyjęli Niemcy do NATO, musieli zmienić narrację. Już nie mówili się o zbrodniach Niemców, tylko nazistów. To samo było po drugiej stronie żelaznej kurtyny. W 1945 r. komuniści założyli w Polsce Główną Komisję Badania Zbrodni Niemieckich, ale w 1949 r. zmieniono jej nazwę na Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich.

Żeby sojusznik – NRD – nie kojarzył się źle?

Dokładnie o to chodziło. Nawiasem mówiąc, to od samego Stalina wyszła dyspozycja, żeby pod żadnym pozorem nie mówić, że Hitler stał na czele narodowego socjalizmu. Związek Sowiecki chciał za wszelką cenę bronić wizerunku socjalizmu i dlatego komuniści wbijali ludziom do głów, że w czasie drugiej wojny światowej ZSRR walczył z faszyzmem. To wierutne kłamstwo – faszyzm był włoski, a nazizm niemiecki.

Jak już mówiłem, Niemcy, gdy pozwolono im w 1949 r. na stworzenie własnego państwa, stworzyli system obronny. I wpisali do swojej ustawy zasadniczej dwa kluczowe artykuły, które miały stać na jego czele. Jeden mówi o zakazie ekstradycji obywateli niemieckich (art. 16), a drugi o zakazie stosowania kary śmierci (art. 102). Dzięki temu, po pierwsze, nikomu nie musieli wydawać nikomu swoich zbrodniarzy, a po drugie – nawet jeżeli byliby już zmuszeni do sądenia ich u siebie, to nie mogli ich ukarać śmiercią.

Po wojnie w bardzo wielu państwach zniesiono karę śmierci. Czy przykład niemiecki powinien więc nas tak bardzo dziwić?

Przyjrzyjmy się więc okolicznościom wprowadzenia tego zakazu, ponieważ mówi on wszystko o prawdziwych intencjach Niemców. Już w latach 20.

Heinz Reinefarth, rzeźnik warszawskiej Woli, jeszcze w drugiej połowie lat 60. był burmistrzem miasta Westerland.

Człowiek, który dowodził masakrą ludności Woli – Niemcy wymordowali wówczas w ciągu kilku dni ok. 50 tys. ludzi – nigdy nie poniósł za to odpowiedzialności

pojawił się w Niemczech niewielki ruch zmierzający do takiej zmiany prawa. Był on jednak na kompletnym marginesie. I nagle, od 1945 r., widzimy w Niemczech bardzo silną koalicję, która domaga się wprowadzenia takiego zakazu.

Dużą rolę odgrywał w tym Hans Globke, późniejszy szef urzędu kanclerskiego Konrada Adenauera.

Globke, prawnik z wykształcenia, zasłynął jako jeden z twórców antysemitycznych ustaw norymberskich.

Wcześniej nie widział problemu w traktowaniu Żydów jak podludzi, nie przeszkadzało mu mordowanie tej społeczności, a nagle po wojnie stał się wielkim przeciwnikiem kary śmierci! Byli naziści bardzo się jej bali. Alianckie sądy wydawały przecież takie wyroki, a do samej Polski przekazano do 1949 r. 1776 niemieckich zbrodniarzy,

z których wielu skazano na śmierć. To wywoływało wielkie oburzenie w Niemczech. „Przecież oni tylko wykonywali rozkazy” – twierdzili ich liczni obrońcy. I w końcu, kiedy tylko Niemcy znów mogli się sami rządzić, od razu wprowadzili do konstytucji zakaz kary śmierci. To nie wynikało ze zwykłych pobudek humanitarnych...

Niemieckich zbrodniarzy było tylu, że aby uczciwie ich rozliczyć, Niemcy musieli wprowadzić specjalne zespoły prokuratorskie. Tymczasem RFN działała w tym kontekście na podstawie starego prawa karnego. Zbrodniarzom trzeba było więc udowodnić bezpośredni udział w konkretnej zbrodni, mnożono warunki, które trzeba było spełnić, by pociągnąć ich do odpowiedzialności.

Zwykle to się kończyło tak, że ci nieliczni zbrodniarze, którzy stanęli przed obliczem niemieckiej Temidy, nie siedzieli w więzieniach dłużej niż 10 lat i wychodzili z powodu słabego stanu zdrowia. Ludzie, którzy obsługiwali komory gazowe, co do zasady żyli zaś sobie spokojnie i umierali we własnych łóżkach.

Niemcy nie mają chyba zbyt wiele powodów, by chwalić się tym, w jaki sposób ich wymiar sprawiedliwości, i w ogóle środowisko prawnicze, zostały „zdenazyfikowany”.

Tego środowiska denazyfikacja praktycznie w ogóle nie dotknęła. Aparat sądowy był opanowany przez byłych nazistów. Wielu sędziów w czasie wojny osądzało Polaków w Generalnym Gubernatorstwie i wymierzało im drakońskie kary za najmniejsze przewinienia.

Niemcy są bardzo dumni z tzw. procesów frankfurckich, do których doszło w latach 60. Sądzone wówczas niewielką część załogi Auschwitz-Birkenau. Tymczasem mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że przewodniczącym sądu sędziowskiego Hans Hofmeyer sam powinien być sądzony za zbrodnie wojenne. Proces był sterowany, tzn. Niemcy wiedzieli, że muszą kogoś ukarać, ale nie chcieli, by grono oskarżonych się rozrastało. Dlatego w tym

przypadku śmiało można powiedzieć, że góra urodziła mysz. Skazano garstkę zbrodniarzy, a wyroki nie były zbyt dotkliwe. Tak jak jednak wspominałem, Niemcy są mistrzami propagandy. Proszę sobie wyobrazić, że we Frankfurcie powstał specjalny instytut, którego celem jest rozpropagowanie na świecie tego, jak rzekomo wspaniale Niemcy rozliczyli się z przeszłością. Dlatego proszę się nie dziwić, że uważam niemiecką politykę historyczną za czystą propagandę, a niemieckie kajanie się za zbrodnie, w świetle tego wszystkie, za nie do końca szczere.

Pytanie jednak, czy Adenauer w tamtych czasach mógł prowadzić inną politykę? Nikt chyba nie wątpi, że był to przyzwoity polityk, który był jawnym przeciwnikiem narodowego socjalizmu.

I dlatego alianci zachodni postawili go po wojnie na czele państwa. Mało było niemieckich polityków, którzy mieli w czasie wojny czyste ręce. Ma pan rację: społeczeństwo niemieckie nie pozwoliłoby mu prowadzić innej polityki. Adenauer w tym sensie nie miał wielkiego wyboru i musiał bardzo ograniczyć ściganie zbrodniarzy.

Zresztą ten program polityczny nie był ograniczony jedynie do formacji centrowprawicowych. Willy Brandt, przewodniczący niemieckiej socjaldemokracji, który zasłynął w Polsce z pustego gestu klęknienia przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie, powiedział w latach 50., że jego partia nie może wzywać do ścigania zbrodniarzy, bo inaczej nie będzie miała szansy na przejęcie władzy – nie będzie wielką partią w sensie poparcia społecznego (Volkspartei). Brandt był realistą. Ilu Niemców było rzeczywiście zaangażowanych w dokonywanie zbrodni? Najniższe szacunki mówią o 300 tys. ludzi. To jest absolutne minimum. Dołączmy do tego ich rodziny. Mamy już kilka milionów głosów. A poza tym były miliony Niemców, którzy po prostu nie chcieli być kojarzeni jako naród zbrodniarzy.

System obronny cały czas był udoskonalany. Niemiecki trybunał konstytucyjny w 1969 r. orzekł, że nie można tak po prostu skazać człowieka wykonującego rozkazy, lecz trzeba wykazać jego indywidualną winę i wolę dokonania zbrodni. W świetle tej wykładni prawa przynależność np. do



Willy Brandt świętuje objęcie urzędu kanclerza RFN, 1969 r. FOT. NATIONAAL ARCHIEF

SS o niczym jeszcze nie świadczyła. Cztery dekady później, kiedy już biologia załatwiła problem Niemców zaangażowanych w zbrodnie, nagle niemiecki trybunał konstytucyjny zmienił zdanie. To się ujawniło przy okazji sprawy Iwana Demianiuka. Dopiero jego skazano według nowych przepisów, których wcześniej Niemcy nie chcieli stosować. Wtedy skazano tylko kilku zbrodniarzy, to już były niedobitki. Propagandowo pokazywało to jednak, że Niemcy są nieugięci w ściganiu i nawet dziadków na wózkach inwalidzkich pociągną do odpowiedzialności za zbrodnie. Niemieckie media zadbały o to, by nadać temu odpowiednią oprawę.



Dlaczego nie przywiązuje pan dużej wagi do słynnego gestu Willy'ego Brandta z 1970 r.? Zdjęcie kanclerza klęczącego przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie przez wielu odbierane jest jako wydarzenie przełomowe, świadczące o drodze, jaką pokonały Niemcy – od butnego narodu dokonującego w Polsce potwornych zbrodni do pokornego społeczeństwa, które chyli czoła przed ofiarami III Rzeszy.

Wiele wysiłku włożono w to, by pokazać, że ukłęknięcie Brandta było wielkim przełomem. A to tylko pusty gest. Zaledwie rok wcześniej Brandt powiedział, że Niemcy nie mogą cały czas płacić za zbrodnie z czasów wojny, chociaż w rzeczywistości bardzo mało zapłacili. Równolegle Brandt dogadywał się z Sowietami i robił z nimi energetyczne biznesy, rzucając im – naszym okupantom – gospodarcze koło ratunkowe, bez

którego blok wschodni szybciej musiałby upaść. Powtarzam: miarą rozliczenia z historią jest wymierzenie sprawiedliwości zbrodniarzom. Za Brandta nic się w tej sprawie nie zmieniło. Przykładowo Heinz Reinefarth, rzeźnik warszawskiej Woli, jeszcze w drugiej połowie lat 60. był burmistrzem miasta Westerland. Człowiek, który dowodził masakrą ludności Woli – Niemcy wymordowali wówczas w ciągu kilku dni ok. 50 tys. ludzi – nigdy nie poniósł za to odpowiedzialności. Zamiast tego robił sobie spokojnie karierę polityczną.

W latach 60. rozpoczął się jednak w Niemczech proces głębokich zmian społecznych. Młodzi Niemcy zaczęli pytać ojców i dziadków o ich rolę w czasie wojny, zaczęli domagać się zmian. Część polityków i sędziów z brudną przeszłością została zmuszona do ustąpienia.

Tak, młodzi zaczęli to krytykować na fali zmian 1968 r. Rzeczywiście wściekli się na rodziców i dziadków, ale to nie wpłynęło w większym stopniu na politykę. Rozliczanie zbrodniarzy, czyli fundament prawdy o wojnie, nie zostało potraktowane poważnie. W zasadzie nic się nie zmieniło. Jeszcze w latach 90., jako doktorant w Niemczech, robiłem wywiady ze zbrodniarzami niemieckimi, którzy wciąż spokojnie robili kariery!

Zajmowałem się wtedy naukowo niemiecką administracją cywilną w okupowanej Polsce. Jednym z moich rozmówców był Peter Grubbe alias Klaus Volkmann, bardzo znany dziennikarz „Stern”. Tymczasem był to zbrodniarz czasów wojny, który był wówczas m.in. Kreishauptmannem (starostą) w Łowiczu. Z wykształcenia był oczywiście



Żołnierze US Army pokazują
niemieckim cywilom ekshumowane
ciała ofiar niemieckich zbrodni

FOT. DOMENA PUBLICZNA

D prawnikiem. Podczas służby w administracji niemieckiej w dystrykcie galicyjskim wysyłał do obozów zagłady Żydów.

Co panu mówił?

Mówił, że wykorzystywał swoje stanowisko, by ratować ludzi tam, gdzie tylko było to możliwe. Ja go jednak rozpracowałem. W moim doktoracie udowodniłem na podstawie dokumentów, że Grubbe wręcz łamał niemieckie prawo okupacyjne, by szkodzić ludziom, by jak najwięcej ofiar wysyłać do obozów. Czyli robił coś dokładnie odwrotnego, niż twierdził, że robił. Grubbe strasznie się na mnie wściekł za ujawnienie tych faktów.

I co się stało? Zajął się nim niemiecki wymiar sprawiedliwości?

Proszę nie żartować. Nawet nie wszczęto w tej sprawie śledztwa. On się oczywiście bronił, mówiąc, że przecież w latach 60. prowadzono w jego sprawie dochodzenie, ale niczego mu nie udowodniono. To prawda – tak działała wówczas niemiecka machina ochrony zbrodniarzy. Maksymalnie ograniczano grono tych, których trzeba było poświęcić dla „dobrej sprawy”. Takich przykładów było mnóstwo.

Czy Niemcy w ogóle „przepracowali” narodowy socjalizm? Często bowiem można usłyszeć z ust Niemców, że NSDAP i Hitler mogli w zasadzie pojawić się wszędzie indziej, ale trafiło akurat na nich.

Niestety Niemcy nie rozumieją po dziś dzień, że narodowy socjalizm to specyfika

niemiecka. Z jednej strony mieliśmy tam socjalizm, a z drugiej agresywny niemiecki nacjonalizm, który rozwinął się już w XIX w. Jego kluczowym elementem były antysemityzm i antysławizm. To prawda, że Niemcy analizują korzenie tego pierwszego, ale do drugiego nie przywiązują już takiej wagi. Dlaczego? Ponieważ antysemityzmowi nie można było zaprzeczyć, gdy na świecie zaczęto nagłaśniać zbrodnię Holocaustu. A o antysławizmie nie trzeba było mówić. Niemcy bardzo sprawnie weszli w narrację o walce z antysemityzmem. Gdy w Waszyngtonie zaczęło powstawać Muzeum Holocaustu, Helmut Kohl wpadł początkowo w panikę. Niemcy szybko jednak weszli w ten projekt, by ograniczyć straty. Jaki jest tego efekt? Co jest ostatnią zbrodnią Holocaustu na wystawie w tym muzeum? Pogrom w Kielcach!

I między innymi dlatego tak trudno namówić Niemców na postawienie polskim ofiarom ich okupacji pomnika w centrum Berlina?

Niestety, prawda jest taka, że Niemcy generalnie nie wiedzą prawie nic o zbrodniach popełnionych w Polsce. Wiedzą tylko o Holocaustie i o zbrodniach w Związku Sowieckim. Polskie ofiary są na kompletnym marginesie opowieści o drugiej wojnie światowej.

Stosunki ze Związkiem Sowieckim to chyba dla Berlina spory problem. Jak Niemcy opowiadają o okresie 1939–1941, gdy obowiązywał pakt Ribbentrop-Mołotow?

Jeśli to tylko możliwe, wówczas pomijają ten okres. Lepiej o tym nie rozmawiać, bo stawia to w złym świetle państwo, które „wyzwoliło” ich od Hitlera. Tak to widzą. Poza tym to zadrażniałoby świetne stosunki z Rosją, a to dla Niemiec priorytet.

W 2009 r. tygodnik „Spiegel” opublikował głośny artykuł pt. „Die Komplizen”.

(„Wspólnicy”). „Spiegel” stwierdził tam, że o ile „Niemcy są za Holocaust, masowe zabójstwo Żydów przeprowadzone na przemysłową skalę, odpowiedzialni”, to jednak „nie byliśmy sami. Wykonawcami rozkazów i współsprawcami z własnej woli byli Ukraińcy, Francuzi, Holendrzy, Łotysze, Litwini, Chorwaci, Hiszpanie, Włosi, Polacy”. Czy to jest marginalny dla nas problem, czy taka narracja ma jednak w Niemczech duże grono zwolenników?

Ta narracja zyskuje niestety na sile i jej ostrze wymierzone jest przede wszystkim w Polaków. Kiedyś było to nie do pomyślenia, ale czasy się zmieniają. Po raz pierwszy spotkałem się z tym w 1999 r. na konferencji w byłym niemieckim obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie mordowano m.in. polskich księży. Gerhard Paul, jeden z niemieckich historyków zajmujących się drugą wojną światową, powiedział tam publicznie: „Holocaust to było europejskie przedsięwzięcie pod niemieckim kierownictwem”. Ręce mi opadły, nie mogłem w to uwierzyć.

Niestety Niemcy mają w tym wsparcie – cytują polskich historyków, których tezy pasują im do tej narracji. Jan Grabowski, Jan Tomasz Gross mają w niemieckim środowisku historycznym status gwiazd. Trzeba przyznać, że kłamliwa teza Jana Grabowskiego o tym, jakoby Polacy zabili w czasie wojny 200 tys. Żydów, została w Niemczech doskonale przyjęta. Kiedy w ostrych słowach krytykuję za takie rzeczy Grossa czy Grabowskiego, jestem w Niemczech atakowany dosłownie przez wszystkich, od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy. Oni bardzo chcą wierzyć w tezę, które podsuwają im ci badacze.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Bogdan Musiał – jest historykiem specjalizującym się w XX-wiecznych dziejach Niemiec, autorem wielu prac na temat niemieckich zbrodni w okupowanej Polsce (m.in. „Kto dopomógł Żydowi...”).



Berliński Pomnik
Pomordowanych Żydów
Europy FOT. DOMENA PUBLICZNA

Nie tylko reparaacje

#38282874

Wojciech Simon

Nie możemy zapomnieć, kto był ofiarą, a kto okrutnym oprawcą i katem – podkreślił we wrześniu premier Mateusz Morawiecki. Polacy mogą mieć powody do obaw. W Niemczech maleje wiedza o zbrodniach z czasów drugiej wojny światowej i rośnie chęć relatywizowania zbrodni wojennych

Kolejny raz premier Polski musiał przypominać, kto wywołał drugą wojnę światową i który naród kryje się za określeniami „hitlerowcy” czy „naziści”. Wcześniej, w 74. rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz, Mateusz Morawiecki stwierdził, że Zagłady nie dokonali „żadni naziści”, tylko hitlerowskie Niemcy. Sprytna, konsekwentnie prowadzona propaganda historyczna doprowadziła bowiem do sytuacji, w której dla wielu odbiorców, którzy słabo znają historię, odpowiedzialni za zbrodnie drugiej wojny światowej „naziści” to grupa o bliżej niesprecyzowanej narodowości.

– Wymiar sprawiedliwości chronił zbrodniarzy, a nie ofiary – zauważył też

we wrześniu 2020 r. premier Mateusz Morawiecki. „Po wielu wezwaniach z Polski niemiecki »wymiar sprawiedliwości« zajął się po wojnie zbrodnią na mieszkańcach Torzeńca dokonaną 2 września 1939 roku na rozkaz dowódcy 41. pułku piechoty Wehrmachtu płk. Friedricha Gollwitzera, w wyniku której śmierć poniosło 37 Polaków”. „Mogło się wtedy wydawać, że wygra prawda i sprawiedliwość. Tymczasem niemieckiego dowódcę oskarżono co prawda o »rażące naruszenie prawa międzynarodowego«, w wyniku czego śmierć ponieśli polscy mieszkańcy Torzeńca, ale równocześnie barbarzyństwo niemieckie – palenie żywcem polskich kobiet i dzieci, rozstrzelania

i bestialskie mordy popełnione z zimną krwią przez żołnierzy Wehrmachtu – de facto usprawiedliwiono. Zbrodniarzy nie spotkała żadna kara” – zauważył w facebookowym apelu, że „w tej sprawie przez kilkadziesiąt lat mówiono zbyt mało i zbyt cicho, a ona zasługuje na to, aby o niej mówiono jak najgłośniej”. Niestety, choć w Niemczech przetoczyła się debata nad zbrodniami, to prawdziwa kara za zbrodnie popełnione podczas drugiej wojny światowej spotkała zaledwie niewielki odsetek pechowców.

NIEWIEDZA I WALKA Z PRAWDĄ

Niemcy, promując w świecie takie terminy jak „hitlerowcy” czy „naziści”, doprowadzili do rozmycia odpowiedzialności narodu niemieckiego. Z tego właśnie powodu w zachodnich społeczeństwach, które o historii wiedzą niewiele, a o historii okupowanej Polski już wyjątkowo mało, zaczęto mylić katów z ofiarami. I z tego właśnie powodu konieczne było dopowiedzenie, że Auschwitz-Birkenau był nie „polskim”, lecz niemieckim nazistowskim obozem koncentracyjnym i Zagładą.

■ Niewiele osób pamięta dziś, że w zamyśle Hitlera oraz Rzeszy Niemieckiej Polacy w najlepszym razie mieli być jedynie niewolnikami „narodu panów”. Jeszcze mniej zna zapewne fakty dotyczące eksterminacji polskiej inteligencji i szczegóły mordów dokonywanych przez niemieckich żołnierzy na polskich profesorach, nauczycielach i księżach. Niewielu pamięta też dziś, że Auschwitz pierwotnie było obozem utworzonym właśnie dla zagłady polskiej inteligencji.

W niemieckich podręcznikach próżno też szukać jasnego powiązania paktu Ribbentrop-Mołotow z wojennymi losami Europy, nie wspominając już o informacjach o zbrodniczych deportacjach w głąb Związku Sowieckiego czy mordzie w Katyniu.

Ogromna niewiedza z obszaru dotyczącego polskich ofiar wojny jest charakterystyczna nie tylko dla Amerykanów, Brytyjczyków czy Francuzów, lecz także nawet dla młodych Niemców. O tym, jak katastrofalnie niska jest wiedza niemieckiej młodzieży o zbrodniach popełnianych przez ich dziadków i pradiadków na terenie Polski, świadczą sondy prowadzone regularnie wśród uczniów niemieckich szkół. Z badania przeprowadzonego latem 2017 r. przez Instytut Badania Opinii Publicznej „Forsa” na zlecenie hamburskiej Fundacji Körbera wynika, że tylko 59 proc. młodych Niemców jest świadomych, że Auschwitz-Birkenau był niemieckim obozem zagłady. Jeszcze gorzej wiedza o okresie drugiej wojny światowej wyglądała w przypadku najmłodszych uczniów. W grupie wiekowej 14–16 lat jedynie 47 proc. ankietowanych znało podstawowe fakty dotyczące obozu Auschwitz-Birkenau, który Niemcy założyli w połowie 1940 r. na okupowanych ziemiach Polski i który stał się dla świata symbolem terroru oraz ludobójstwa.

Wielu młodych Niemców nie ma też świadomości morderczych działań ich dziadków i pradiadków wobec ludności cywilnej, w tym brutalnych gwałtów dokonywanych na Polkach przez żołnierzy Wehrmachtu.

Takie wyniki muszą niepokoić, ale niestety nie powinny nikogo specjalnie dziwić. Oczywiście, za fatalną wiedzę można winić autorów niemieckich programów nauczania, a także niemieckich podręczników historii, w których pomija się wiele zbrodni, zwłaszcza dokonanych przez Niemców na narodzie polskim. Z tego



powodu wielu niemieckich uczniów nie ma bladego pojęcia choćby o powstaniu warszawskim i o jego znaczeniu dla tożsamości współczesnych Polaków.

Teoretycznie w zrozumieniu, czym była ta wojna, młodym Niemcom powinien pomagać seriale telewizyjne i filmy dotyczące tego okresu, a także artykuły publikowane w niemieckich mediach. W praktyce tak się jednak nie dzieje, ponieważ niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady nawet w niemieckich mediach przerażająco często bywa błędnie nazywany „polskim”. O „polskich” obozach pisała agencja DPA, mówiła też o nich niemiecka stacja radiowa z Bawarii: B5 aktuell. I chociaż często redakcje szybko prostują ten skandaliczny błąd, to nie wszystkie są chętne do tego, aby odpowiednio za niego przeprosić.

Szczególny opór w przedstawieniu prawdy wykazali szefowie drugiego programu niemieckiej telewizji publicznej – Zweites Deutsches Fernsehen (ZDF). 15 lipca 2013 r. na portalu tej niemieckiej stacji pojawiło się określenie „polskie

obozы zagłady Majdanek i Auschwitz”, zapowiadające emisję filmu dokumentalnego przygotowanego przez niemiecko-francuski kanał telewizyjny ARTE. Warto zauważyć, że ARTE w informacji dla mediów zapowiadającej film posłużyło się poprawnym określeniem: „niemieckie nazistowskie obozy zagłady w okupowanej Polsce”. Karol Tendera, były więzień Auschwitz i Flossenbürg, uznał więc, że Niemcy celowo dopuścili się kłamstwa historycznego, i wystąpił z pozwem przeciw ZDF. W grudniu 2016 r. krakowski sąd apelacyjny nakazał niemieckiej telewizji ZDF zamieścić na portalu zdf.de przeprosiny Karola Tendery za użycie w 2013 r. określenia „polskie obozy śmierci”. Niemiecki nadawca próbował wykręcić się od wykonania wyroku i odwołał się do niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Stacja próbowała następnie przeproszać ogólnie, publikując komunikat, w którym przeproszała wszystkich, którzy poczuli się urażeni nazwaniem Auschwitz i Majdanek „polskimi obozami”. Sądy w Moguncji i w Koblencji



Kadr z serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

przyznały jednak, że sformułowanie „polskie obozy zagłady” może „wywołać u przeciętnego odbiorcy wrażenie, że nie chodzi tylko o geograficzną lokalizację, lecz także narodową”, co sugerowałoby, że obozy były tworzone i prowadzone przez Polaków. Adwokaci ZDF odwołali się jednak do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe, gdzie wywalczyli przychylny dla siebie werdykt – zgodnie z prawem niemieckim nie można przymuszać dziennikarza do zmiany opinii, nawet jeśli ta jest nieprawdziwa. Szefowie niemieckiej stacji skapitulowali dopiero po trwającej niemal sześć lat batalii sądowej. – Informacje przekazywane przez nadawców beczeszczą i fałszują pamięć o tym, kto był mordercą, a kto ofiarą w niemieckich obozach podczas wojny – podkreślał wielokrotnie mec. Lech Obara, radca prawny znany ze swej bezkompromisowej walki z objawami antypolonizmu.

Dobrym przykładem prób relatywizowania historii i rozmywania winy za niemieckie zbrodnie wojenne był

również film „Nasze matki, nasi ojcowie”. Co prawda pokazał on brutalność niemieckiej okupacji na Wschodzie, ale jednocześnie autorzy filmu próbowali przypisać zbrodniczą rolę żołnierzom Armii Krajowej.

I chociaż oficjalnie żaden poważny niemiecki polityk nie podważa niemieckiego sprawstwa w zbrodni Holocaustu, to od lat Niemcy próbują relatywizować zbrodnie własnego narodu, umniejszając zwłaszcza bestialskie czyny przeciw narodowi polskiemu. Twórcy filmu zρέcznie pominęli problem szerokiego poparcia społecznego Niemców dla reżimu Hitlera, a także rozpoczęli akcję od napaści na Związek Sowiecki w 1941 r., co u przeciętnego widza mogło wywołać przekonanie, że dopiero wówczas rozpoczęła się druga wojna światowa.

Z coraz większą śmiałością patrzają też na okrutne postępowanie ojców, dziadków i pradiadków w kategoriach sukcesów militarnych. – Francuzi są dumni ze swojego wodza, Brytyjczycy z lorda Nelsona i Churchilla, a my mamy

prawo być dumni z osiągnięć naszych żołnierzy na frontach pierwszej i drugiej wojny światowej – przekonywał podczas wiecu wyborczego w 2017 r. Alexander Gauland, jeden z założycieli skrajnie prawicowej, populistycznej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD).

Gauland przekonywał także, że nikt inny w Europie „nie rozliczył się tak dobrze ze swoją przeszłością jak Niemcy”. Niemcy od kilkudziesięciu lat robią wiele, aby świat uwierzył w to rozliczenie, które – jeżeli nawet do niego doszło – jest jedynie rozliczeniem na pokaz, w które wierzy zaledwie mała część niemieckich elit. I chociaż niemiecki filozof, Karl Jaspers, w eseju „Pytanie o winę” wskazywał, że żaden Niemiec nie może się uchylić od odpowiedzialności za drugą wojnę, to współcześnie coraz częściej nie tylko populiści, lecz także niemieccy historycy próbują przekonywać, że Niemcy sami padli ofiarą nazizmu, a w zbrodni hitlerowskie zaangażowanych było również wiele innych narodów.

I chociaż skandaliczne słowa Gaulanda wywołały burzę w polskich mediach, to liderzy AfD nie wyciągnęli z niej żadnych mądrych wniosków. We wrześniu 2020 r. na jaw wyszła nagrana ukrytą kamerą wypowiedź jednego z liderów AfD, 44-letniego Christiana Luetha, który podczas spotkania z youtuberką Lisą Licentią przekonywał, że Niemcy powinny przyjmować jak najwięcej uchodźców, bo „im gorsza sytuacja jest pod tym względem w Niemczech, tym lepiej dla AfD”. Szok nawet wśród Niemców wywołało kolejne zdanie: „Możemy ich wszystkich wtedy zastrzelić. To żaden problem. Albo ich zagazować czy cokolwiek chcecie. Wszystko mi jedno”.

Jak zauważył dziennik „Die Zeit”, w tonie tej wypowiedzi nic nie wskazywało na to, że Christian Lueth mógł żartować. Wcześniej ten sam polityk AfD – głównej opozycyjnej partii w Bundestagu, której przedstawiciele zasiadają w niższej izbie parlamentu od 2017 r. – przyznawał się do aryjskiego pochodzenia oraz sam siebie określał mianem „faszysty”. Szefowie Alternatywy dla Niemiec zdecydowali więc o usunięciu Luetha, rzecznika frakcji parlamentarnej AfD, z grona swych członków. Alexander Gauland nadal jest jednak jej liderem.

BEZ POMNIKA POLSKICH OFIAR

Oczywiście, wielu Niemców dba o gesty. W rocznicę napaści na Polskę



Ul. Marszałkowska podczas Powstania Warszawskiego. FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ flaga na budynku ambasady Niemiec w Warszawie opuszczana jest do połowy masztu. O ważnych i symbolicznych słowach pamiętają nie tylko dyplomaci, lecz także zdecydowana większość rządzących polityków.

Gorzej jest z konkretnymi działaniami. Punktem zapalnym we wzajemnych relacjach – który będzie powracał tak długo, aż wreszcie zostanie załatwiony – jest wciąż kwestia należnych Polsce reparacji za straszliwe niemieckie zbrodnie wojenne. Polska nie ogłosiła jeszcze konkretnej kwoty żądań. Jak jednak we wrześniu 2020 r. ogłosił poseł PiS Arkadiusz Mularczyk, raport w sprawie wysokości odszkodowania od Niemiec dla Polski za zniszczenia podczas drugiej wojny światowej jest już finalizowany. O jakich pieniądzach mowa? Szacuje się, że w grę mogłoby wchodzić od 800 mld do 2 bln euro.

Rząd Niemiec uważa sprawę reparacji dla Polski i Grecji za ostatecznie załatwioną. Tymczasem nawet niemieccy historycy, tacy jak Karl Heinz Roth i Hartmut Rübner, uważają takie stanowisko za „prawnie nieuzasadnione” i „nieodpowiedzialne z historyczno-politycznego punktu widzenia”. Zauważają oni, że prawo międzynarodowe nie zna terminu przedawnienia, rezygnacja z reparacji ogłoszona przez PRL w roku 1953 dotyczyła jedynie NRD, a nie całych Niemiec. Traktat 2 + 4 o zjednoczeniu Niemiec z 1990 r. nie był z kolei traktatem pokojowym, nie mógł więc ostatecznie zamknąć

tematu reparacji. Roth i Rübner szacują straty wynikające z niemieckich zbrodni w Polsce – mordów (Polska straciła ok. 5,9 mln swoich obywateli), eksploatacji i zniszczeń – na 1,182 bln euro.

Polska nie jest zresztą jedynym państwem, które porusza w stosunkach z Niemcami kwestię należnych reparacji. W 2019 r. oficjalnie do otwarcia negocjacji w sprawie wypłaty reparacji za pierwszą i drugą wojnę światową wezwały Niemcy władze Grecji. Od 2015 r. rząd w Berlinie prowadzi rozmowy z Namibią, która domaga się reparacji za zbrodnie popełnione podczas rządów kolonialnych. Od Niemców i Belgów 36 mld euro odszkodowań domagają się m.in. władze Burundi, byłej niemieckiej kolonii.

W stosunkach polsko-niemieckich niezrozumiałe jest również to, dlaczego w stolicy Niemiec wciąż nie ma pomnika polskich ofiar drugiej wojny światowej. O jego postawienie apelował już minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski. – Niemcy prowadzili wobec Polaków politykę zagłady. Niemcy mordowali jeńców i intelektualistów z Polski – przypominał Niemcom profesor.

Mimo upływu wielu lat Polacy takiego pomnika wciąż się jednak nie doczekali. Przeciwnicy jego postawienia argumentują, że ofiarami niemieckich zbrodni w czasie drugiej wojny światowej padło tak wiele różnych narodów, że w centrum Berlina nie wystarczyłoby miejsca na upamiętnienie ich wszystkich. W Berlinie są już jednak pomniki

upamiętniające inne ofiary Adolfa Hitlera: pomnik ku czci pomordowanych Żydów, homoseksualistów oraz Sinti i Romów. Trudno też zapominać o tym, jak niezwykle brutalnego terroru od Niemców doświadczyli Polacy.

Taki pomnik jest szczególnie potrzebny, aby przypomnieć narodowi niemieckiemu nie tylko o zbrodniach popełnionych na sąsiadach, lecz także o wartości wymagającego od Polaków dużego poświęcenia pojednania między narodem katów i narodem ofiar. W czasach, gdy pamięć o wydarzeniach, od których nie minęło jeszcze nawet sto lat, tak bardzo się zaciera, taki pomnik mógłby też pozytywnie wpływać na przyszłe stosunki polsko-niemieckie, a także być przestrogą dla zapędów niektórych mniej lub bardziej neofaszystowskich polityków w Niemczech.

Przywódcy Polski i innych krajów Europy Środkowej i Europy Wschodniej z niepokojem postrzegają bowiem sposób, w jaki Rosja wykorzystuje niemiecką wrażliwość historyczną, a zwłaszcza powtarzany często przez Niemców zwrot „Rosja jest naszym sąsiadem”. Choć wystarczy rzut oka na mapę, aby przekonać się, że jest inaczej, to Berlin wciąż lubi rozmawiać bezpośrednio z Moskwą z pominięciem Warszawy, Wilna, Rygi czy Tallina. Wśród bieżących kwestii duże kontrowersje budzi sprawa rurociągu Nord Stream 2, a także żądania reparacji konsekwentnie wysuwane przez polityków Zjednoczonej Prawicy. Kraje regionu V4 i Niemców dzielą również wyobrażenia o przyszłości Unii Europejskiej: Niemcom bliższa jest wizja Stanów Zjednoczonych Europy pod przywództwem Berlina, z kolei Polacy i inne narody Europy woleliby, aby UE nie wykraczała nadto poza ramy gospodarcze.

O różnych wizjach przyszłości Europy można debatować. Punkty sporne w narracji historycznej obu narodów trzeba jednak jak najszybciej wyjaśniać i prostować. Następne pokolenia, wychowane w niewiedzy, mogą bowiem naprawdę nie rozumieć słusznych pretensji ze strony sąsiadów. Biorąc pod uwagę to, jak ważne dla losów Europy były, są i będą stosunki polsko-niemieckie, warto inwestować w edukację kolejnych pokoleń i prowadzić świadomą politykę historyczną oraz zagraniczną. I sprawić, by polski głos był lepiej słyszalny podczas międzynarodowej debaty.



Parada niemieckich „wypędzonych” mieszkających w Nadrenii Północnej-Westfalii, 1959 r.

FOT. DIETER SELIGER

Problem z „wypędzonymi”



Piotr Semka

Środowisko „wypędzonych” przez wiele lat wywierało ogromną presję na niemieckich polityków, co zatruwało relacje z Polakami. Co o jego wpływie na współczesną rzeczywistość mówi sprawa budowy w Niemczech Centrum przeciwko Wypędzeniom?

Lata 1944–1945 były dla milionów Niemców czasem ucieczki przed nawałą ze Wschodu. Na mocy rozkazów partii i dowództwa wojskowego zarządzano wysiedlanie ludności cywilnej z terenów, na które wkraczała Armia Czerwona walcząca z Wehrmachtem. Była to chronologicznie pierwsza grupa niemieckiej ludności, która musiała opuścić swoje domostwa na Wschodzie.

Wśród uciekających wówczas w kierunku centralnej części Rzeszy byli zarówno przedwojenni obywatele III Rzeszy z Prus Wschodnich, Pomorza i ze

Śląska, lecz także Niemcy, których rodziny często od stuleci zamieszkiwały kraje podbite lub podporządkowane sobie przez Berlin, takie jak Słowacja, Węgry czy Rumunia.

We wszystkich krajach, w których mieszkali niemieckie wspólnoty narodowe, od 1933 r. NSDAP podporządkowało sobie miejscowe organizacje ludności niemieckiej, czyniąc z nich często swoistą piątą kolumnę działań Hitlera. Najbardziej drastycznie objawiło się to w postaci działania podziemnych organizacji niemieckich na terenie Polski do 1939 r.

Niemcy urodzeni w Polsce byli w wielu przypadkach rezerwą kadrową dla sił policji gestapo i żandarmerii jako ludzie znający teren i język podbijanych krajów środkowej Europy. Z kolei w państwach, które stały się satelitami III Rzeszy, takich jak np. Słowacja, Węgry, Rumunia czy tereny byłej Jugosławii, Berlin wyznaczał niemieckim mniejszościom rolę swoistych strażników lojalności miejscowych władz wobec III Rzeszy.

Wszystko to powodowało odwet na Niemcach. W rezultacie większość niemieckiej ludności środkowej Europy opuszczała swoje domostwa i posuwała się w kierunku Niemiec w granicach z 1937 r. jako miejsca schronienia. Ci, którzy zostali mimo wycofywania się Wehrmachtu, zderzyli się z brutalnością żołnierzy sowieckich, a potem bezwzględnością oddziałów zabezpieczania tyłów NKWD. Plany Stalina przewidywały wysyłanie Niemców, którzy nie byli jeńcami wojennymi, do bezterminowego zatrudnienia przy robotach w Związku

■ Sowieckim.

Wszystkiemu towarzyszyły też gwałty na niemieckich kobietach, brutalne morderstwa często osób niewinnych czy wreszcie zmuszanie Niemców do wieloletniej pracy na zasadach niewolniczych przy demontażu niemieckich zakładów przemysłowych czy pracy w gospodarstwach rolnych pracujących na potrzeby wojsk frontowych. Koniec wojny oznaczał sytuację, gdy na terenie Niemiec znajdowało się wiele milionów ludzi, którzy opuścili swoje domy na wschodzie. Do tej liczby doszły kolejne miliony wysiedlonych w konsekwencji postanowień konferencji w Poczdamie latem 1945 r. Niemców wysiedlały ze swoich rodzinnych stron nie tylko Polska czy Czechosłowacja, lecz także Węgry, Jugosławia i częściowo Rumunia. Wszyscy oni „spadli” na głowy głównie administracji zachodnich stref okupacyjnych. Nie znaczy to jednak, że wysiedleni planowali osiedlać się na stałe na nowych dla siebie terenach.

We wschodnich Niemczech setki tysięcy rodzin czekało na rozwój wydarzeń. Jeszcze więcej niemieckich Pomorzan, Ślązaków czy Wschodnich Prusaków było przekonanych, że wyznaczona granica Polski na Odrze i Nysie jest tylko chwilowym zwrotem politycznej akcji. Chociaż granicę tę potwierdziła konferencja wielkich mocarstw w Poczdamie, to Niemcy cierpliwie czekali, aż jakieś nowe wydarzenia unieważnią jej postanowienia. Tym czymś miała być początkowo zgoda na neutralizację Niemiec w zamian za zgodę Stalina na powrót do granic z 1937 r. lub pomoc mocarstw zachodnich w korekcie na rzecz Niemiec granicy na Odrze i Nysie. Rosjanie po zajęciu Szczecina przez prawie trzy miesiące utrzymywali niemiecki komunistyczny zarząd miasta. Potem gdy Szczecin przyznano Polsce, ludzono się, że planowana przyszła konferencja pokojowa skoryguje granice na Odrze i Nysie na korzyść Niemiec. Wreszcie pojawiały się idee wspólnego zarządu wszystkich mocarstw nad Niemcami. Wszystkie te plany jednak dość szybko się rozwiały. Narastająca rywalizacja Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego przyniosła podział Niemiec na część zachodnią i wschodnią. O traktacie pokojowym przestano mówić na długie lata.

„WYPĘDZENI” SIĘ ORGANIZUJĄ

Do ok. 1948 r. przybysze ze wschodnich prowincji Niemiec żyli na walizkach. Zakładali, że w każdej chwili mogą wrócić



Matka jeńca wojennego dziękuje kanclerzowi Adenauerowi za powrót jej syna z ZSRS, 1955 r.

FOT. BUNDESARCHIV

do swoich dawnych siedzib za Odrą. W miarę upływu czasu dochodziła do nich jednak prawda, że może się to przynajmniej odwiec w czasie. Landsmannschaften, ziomkostwa, które grupowały przybyszy z poszczególnych krain dawnej Rzeszy, organizowały się i wzajemnie wspierały. 5 sierpnia 1950 r. wygnańcy spotkali się w Stuttgarcie przed zamkiem. Ogłoszono tam wtedy i przyjęto przez aklamację tzw. kartę wypędzonych, w której pod naciskiem aliantów zachodnich deklarowano wyrzeczenie się przemocy i środków wojennych dla zmian granic powojennych, ale jednocześnie wyraźnie mówiono, że wysiedleni Niemcy nie zrezygnują ze swego żądania powrotu do ojczyzny. Od samego początku stowarzyszenia „wypędzonych” pełniły funkcję wentyli bezpieczeństwa dla szoku, jaki przeżyli Niemcy, przegrywając wojnę. Jednocześnie optyka „wypędzonych” była zakłócona przez niedawne, często dramatyczne wydarzenia. Spowodowała ona przyjęcie bardzo wygodnej dla Niemców formy uznania się za ofiary wojny, a nie jej sprawców. Pojawiła się wręcz ideologia mówiąca, że „wypędzenie” było formą odpowiedzialności moralnej Niemiec za rozpętanie najstraszniejszej z wojen.

Jedną z pierwszych osób publicznych, które zaczęły wygłaszać tego typu teorie na procesie norymberskim, był były wielki przywódca Hitlera na Generalną Gubernatorstwo – Hans Frank. W jednym z przemówień na procesie w Norymberdze niemiecki dygnitarz mówił: „Wszelka wina narodu niemieckiego została już zmazana nie tylko przez zachowanie się zwycięzców wobec nas i naszych żołnierzy, lecz także przez ogrom straszliwych zbrodni, jakie popełnili na Niemcach – Rosjanie, Polacy i Czesi zwłaszcza na Śląsku, Pomorzu i w Sudetach”.

Alianci w zachodnich sektorach okupacyjnych także uważali ruch ziomkostw za wentyl bezpieczeństwa dla nacjonalizmu lub recydywy nazizmu. O tym, jak bardzo było to wybiórcze, świadczy fakt, że władze francuskie bardzo ostro interweniowały, gdy pojawiały się jakiekolwiek zawiązki „wypędzonych” z Alzacji i Lotaryngii, ale nie reagowały już zbyt ostro, gdy wypędzeni rozprawiali o zbrodniach Polaków i Czechów w trakcie „wypędzania” Niemców na zachód. Na początku lat 50. „wypędzeni” próbowali założyć własną partię. Ugrupowanie to odnosiło pewne sukcesy np. w takich małych landach Niemiec jak Szlezwik-Holsztyn, ale rychło Konrad Adenauer, najbardziej utalentowany lider niemieckiej sceny politycznej po wojnie, zaczął działać w kierunku osłabiania partii „wypędzonych” na rzecz budowy silnej chadecji CDU/CSU.

Miało to swoją cenę. CDU przejęło rolę patrona wysiedlonych, choć ówczesna SPD także rywalizowała z partią Adenauera o status partii, której „wygnańcy” mogą zaufać. Ostatecznie CDU, ale i częściowo SPD doprowadziły do powstania 27 października 1957 r. jednego wielkiego Związku Wypędzonych – Bund der Vertriebenen, w skrócie BdV – do którego weszło 21 poszczególnych ziomkostw z ziem wschodniej Europy.

LATA CHWAŁY I CHWIEJNOŚCI

Konrad Adenauer, który rządził w latach 1949–1963, zadbał o stworzenie ustawodawstwa, które było niezwykle łaskawe dla przybyszy ze wschodu. „Wypędzeni” otrzymywali bardzo wysokie sumy na pomoc w odnalezieniu się w nowym otoczeniu. Państwo zachodniemieckie finansowało instytuty badawcze zbierające relacje o ich cierpieniach

i pamiątki z ich dawnych ojczyzn, wreszcie „wypędzeni” uzyskali spore sumy na organizowanie imprez mających kultywować ich tradycje. Mniej chętnie podkreślanym faktem był bardzo duży udział byłych członków NSDAP we władzach BdV. Był to wynik paru okoliczności. Po pierwsze, byli naziści mieli w sobie najwięcej zapału i nawiązywania do przewodzenia. Po drugie, mieli oni za sobą okres dominacji nad organizacjami Niemców ze wschodu, gdyż np. organizacje niemieckie na Węgrzech, Słowacji czy w Rumunii, ale także na terenie Polski sprzed 1939 r., podlegały ścisłej kontroli już nie tylko NSDAP, lecz także RSHA, czyli głównego urzędu bezpieczeństwa Rzeszy.

Spśród 13 pierwotnych założycieli BdV w 1958 r. byli tacy naziści jak Alfred Gille (NSDAP), Erich Schellhaus (oficer Wehrmachtu) czy Heinz Langguth oraz Rudolf Wollner – obaj z SS. Ta dominacja ludzi o brunatnej przeszłości została nieco tylko złamana w połowie lat 60., kiedy to drugi prezydent związku Hans Krüger został zdemaskowany jako polityk, który ukrył, że był hitlerowskim sędzią skazującym na śmierć Polaków w okupowanej Polsce. Krüger działał w okolicach Chojnicy w ramach tzw. Sondergerichte – sądów specjalnych. Po ujawnieniu przez media przeszłości Krügera został on zmuszony do ustąpienia w 1964 r. z funkcji szefa BdV, a kanclerz Ludwig Erhard odwołał go z funkcji ministra ds. wypędzonych. Dla zatuszowania fatalnego wrażenia nowym liderem związku został Wenzel Jaksch – wywodzący się z Sudetów działacz SPD.

Nie tylko jednak skandale rzuciły cień na BdV. Atmosfera wokół ziomkostw zaczęła się powoli zmieniać po wybuchu lewicowej rewolty 1968 r. Wówczas to nowa generacja młodych Niemców w ramach konfliktu pokoleniowego zaczęła zarzucać pokoleniu rodziców nazistowską przeszłość wojenną. Środowisko „wypędzonych” z ich licznymi byłymi nazistami było wyjątkowo wdzięcznym celem do takich demaskatorskich ataków. W latach 70., gdy niemiecka lewica zaczęła odwojowywać z rąk chadeckich niemieckie media i instytucje publiczne, zaczęto powoli ograniczać niezwykle uprzywilejowanie ziomkostw poprzedniej epoki. Proces ten został wzmocniony jeszcze przez decyzje kanclerza Willy’ego Brandta o uznaniu granic na Odrze i Nysie oraz podpisaniu traktatu państwowego PRL. Był to już bardzo wyraźny komunikat państwa niemieckiego, że jego obywatele ze wschodnich części Rzeszy

nie mają co się łudzić w sprawie powrotu do swoich rodzinnych „małych ojczyzn”. Pewnym ożywieniem dla organizacji „wypędzonych” była tzw. fala spätaussiedlerów, czyli „późnych przesiedleńców”, których to Republika Federalna wykupywała w zamian za sowite kredyty i spłaty w Polsce czy Rumunii.

ŁABĘDZI ŚPIEW ERIKI STEINBACH

W połowie lat 90. wydawało się, że ziomkostwa przestaną być kością niezgody w relacjach Polski i Niemiec. Po upadku komunizmu w Polsce doszły do głosu nowe elity, które na naszych ziemiach zachodnich przestały patrzeć na pamiątki ponemieckie jak na ślad krwawego nazizmu, ale widziały w nich elementy dziedzictwa kulturowego ziem, które przyszło zająć Polakom po 1945 r. Umożliwiło to współpracę ziomkostw i pojedynczych

Niemców dobrej woli z Gdańska czy Wrocławia w ratowaniu dziedzictwa kulturowego za Odrą i Nysą. Częste były spotkania Niemców, muszących opuścić Pomorze czy Śląsk z Polakami, którzy przybyli na te ziemie z Wilna czy ze Lwowa. Takim spotkaniom patronowały często niemieckie instytucje państwowe, które miały nadzieję, że refleksja nad podobieństwem losów wygnańców ze wschodnich kresów Niemiec

i Polski będzie ostatecznym zamknięciem kwestii „Vertriebenen”.

Jednak w 1998 r. szefostwo BdV objęła niespodziewanie żywotna i dynamiczna Erika Steinbach. Potrafiła ona w ciągu paru lat skupić wokół siebie postacie życia publicznego Niemiec o sporym autorytecie i zachęcić je do poparcia idei budowy Centrum przeciwko Wypędzeniom. W dość sprytny sposób wykorzystwała ówczesne współczucie Europy dla masowego wygnania albańskich mieszkańców Kosowa przez ówczesne postkomunistyczne władze Serbii do wskrzeszenia kultu ofiar wypędzeń tym razem w pozornie uniwersalistycznym sosie. Ten nagły impuls żywotności w działalności BdV szybko przyniósł konsekwencje, które stały się dla Polaków nie do zaakceptowania. Oto

urodzony we Wrocławiu w 1940 r. działacz Ziomkostwa Śląskiego – Rudi Pawelka – rzucił ideę powołania Powiernictwa Pruskiego, które zobowiązało się do pisanie pozwów o odszkodowania za utracony majątek na terenach należących obecnie do Polski. Po stronie polskiej zaniepokojeniem i oburzeniem powrotem do kwestii przeszłości był fakt wykrycia przez dziennikarza „Rzeczpospolitej” Jerzego Haszczyńskiego okoliczności przyznania Eriki Steinbach statusu wypędzonej. Jak się okazało, urodziła się ona w 1943 r. w Rumi koło Gdyni jako córka okupacyjnego oficera sił zbrojnych Niemiec, którego skierowano na teren okupowanej Polski z terenów centralnych Niemiec.

Epoka Eriki Steinbach trwała do 2014 r., kiedy wskutek swojej coraz bardziej awanturniczej polityki zaczęli odsuwać się od niej dotychczasowi sojusznicy. Naj-

większe dzieło jej życia – Centrum przeciwko Wypędzeniom – wciąż nie zostało otwarte mimo powtarzających się w ciągu ostatnich lat komunikatów o powolnym kończeniu prac nad ekspozycją stałą centrum. W powolnym schyłku siły BdV widać też wpływ biologii. Najmłodszy urodzeni jeszcze na terytoriach Pomorza czy Prus Wschodnich mają już dziś 75 lat. Ci, którzy świadomie pamiętają te tereny, mają w najlepszym wypadku 85 lat. A ich synowie

i wnukowie, którzy także mają prawo do statusu „wypędzonych”, albo pogodzili się z nowymi granicami, albo stracili zainteresowanie ziemią przodków.

Istnieje oczywiście nacjonalistyczne podziemie, w którym kultywuje się tradycje wschodniopruskich generałów czy „bohaterskich” obrońców Festung Breslau w 1945 r., ale to już oczywiście pilnie inwigilowany przez odpowiednie służby margines. Jeśli coś jest punktem sporów pomiędzy Polską a Niemcami, to raczej lewicowa krytyka stosunku władzy w Warszawie do ideologii LGBT czy prób reform sądów i wymiaru sprawiedliwości. Ziomkostwa powoli zaczynają wymierać i przygasać. W Polsce nikt po nich płakać nie będzie.

